

FUNDACJA GENERAL ELŻBIETY ZAWACKIEJ  
Archiwum i Muzeum Pomorskie Armii Krajowej  
oraz Wojskowej Służby Polek  
100 Toruń, ul. Podmurna 93, tel. 0048 56 65 22 186  
e-mail: fepak@wp.pl; www.zawacka.pl



Chojnice  
JOW. Gr. P. AK  
"szyszki"  
Knut Jędrzej  
ps. "Lis"  
M-1644/2596 Bon

**SPIS ZAWARTOŚCI  
TECZKI**

*Janek Teofil* .....

*T: M-1644/2596 Toruń* .....

*Chojnice Tow. Gr. P. - A Q* .....

*"Szyszli"*

I./1. Relacja —

I./2. Dokumenty (sensu stricto) dotyczące relatora —

I./3. Inne materiały dokumentacyjne dotyczące relatora —

II. Materiały uzupełniające relację *k. 205.1-2*

III./1. Materiały dotyczące rodziny relatora —

III./2. Materiały dotyczące ogólnie okresu sprzed 1939 r. —

III./3. Materiały dotyczące ogólnie okresu okupacji (1939-1945)

III./4. Materiały dotyczące ogólnie okresu po 1945 —

III./5. Inne ...

IV. Korespondencja

.....

.....

.....

V. Nazwiskowe karty informacyjne *k. 4*

VI. Fotografie *lokalu*

11. Materiały uzupełniające relacje -  
- Kmit Teofil

1. art. Janke Stanisław, Kolce syberyjskiej  
"róży", Naji Göchrö, nr 6/2008, s. 84-85,  
omyc.

k. 2 s. 1-2



## KOLCE SYBERYJSKIEJ RÓŻY



Stanisław Janke

**Otrzymałem wiadomość, że w Kartuzach mieszka człowiek, który przeżył owojenną wywózkę na Syberię. Rozpocząłem poszukiwania dysponując nader skromną informacją: nazwisko - Knut, adres - ulica Ogrodowa. Ulicy o tej nazwie w Kartuzach już nie ma, teraz nosi ona imię Marchlewskiego, działacza komunistycznego. Przy tej ulicy odszukałem dom Franciszka Knuta, który, jak się okazało, był na Syberii, ale teraz nie może mi opowiedzieć o przeżyciach z tamtego czasu.**

Milczy nie dlatego, że się boi, ale z powodu utraty mowy. Stracił ją po ciężkim ataku choroby układu krążenia. Już przychodzi do zdrowia i zaczyna odzyskiwać głos, a tymczasem zaproponował mi, z pomocą rodziny, bym porozmawiał z jego bratem Teofilem, który również przeżył syberyjską gehennę i od czternastu lat mieszka w Polanowie, w małym miasteczku w województwie koszalińskim.

Teofil Knut z Kartuzami związany był w okresie młodości. Przez pięć lat terminował tu w zakładzie fryzjerskim Teofila Pałasza. Ojciec był leśnikiem w Wygodzie nie opodal Mojusza. Kilka lat przed wojną przeprowadzili się do leśniczówki w Płecnie pod Chojnicami. W lutym 1939 roku Teofil Knut został powołany do wojska. Służył w 3 batalionie artylerii przeciwlotniczej w Gdyni. W pierwszych dniach września 1939 roku walczył pod dowództwem płk. Stanisława Dąbka o Kępę Oksywską. Po zakończeniu heroicznej obrony 19 września został wzięty do niewoli niemieckiej i osadzony w obozie pod Stargardem Szczecińskim. Początkowo pracował w pobliskich majątkach ziemskich, później Niemcy skierowali go do pracy we fryzjerni w koszarach wojskowych.

- W tych koszarach - wspomina - pracowała grupa polskich cywilów z Bydgoszczy. Byli hydraulikami. Pewnego dnia spotkałem ich w ubikacji i zapoznałem się z nimi. W sobotę 15 czerwca 1941 roku przynieśli cywilne ubranie, w które się przebrałem i wyszedłem razem z nimi do pracy. Zaprowadzili mnie na dworzec kolejowy, wykupili bilet, a ja wsiadłem do pociągu i bez żadnych komplikacji przyjechałem do domu. Ukrywałem się u znajomych w Płecnie i okolicy. Żyłem w ciągłym napięciu i strachu. Gdy w lagrze spisywali adres ostatniego miejsca zamieszkania, podałem prawdziwy -- Chojnice, bo tam pracowałem jako pomocnik fryzjerski. Być może w Chojnicach szukali mnie, ale do Płecna nie przyszłi. Później czułem się coraz pewniejszy i przed miejscowa ludnością w ogóle się nie ukrywałem. Ufałem, że mnie nie zdradzą.

W tym czasie zapisał się do Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Pomorski”. Do „Gryfa” należał również Franciszek i pozostali bracia - Jan i Marceli, dziś już nieżyjący. Gdy rodzice Knutów zostali zmuszeni do podpisania listy trzeciej grupy narodowościowej, bracia w obawie przed

powołaniem do Wehrmachtu zaczęli ukrywać się w lesie. Teofil Knut również poszedł do lasu. Wszyscy należeli do oddziału partyzanckiego „Szyszki”, którym dowodził Jan Szalewski „Soból”. Jan Knut, najstarszy z braci, był dowódcą jednej z grup tego oddziału. Ukrywali się w bunkrach usytuowanych w okolicach leśnictwa Gieldoń pod Chojnicami. W leśnym ukryciu przeżył, jak mówi, trzy zimy. Gdy zbliżał się front przebywał z braćmi w okolicy Gutowca. Było to w lutym 1945 roku.

- Stacjonowaliśmy w leśnej dolinie z paroma innymi grupami - opowiada. - Któregoś popołudnia zaczął się kolejny atak wojsk rosyjskich i wszyscy w obawie przed przypadkowym trafieniem położyliśmy się na ziemię. Leżeliśmy placikiem przez parę godzin, a wokół nas rozpryskiwały się galeje i wióry. Uspokoilo się, gdy nastąpiła szarówka. W nocy nasi podczoł-gali się do drogi zobaczyć, co się dzieje. Przyszli z wiadomością, że są tam jeszcze niemieckie patrole. O świcie goiłem właśnie Jana, gdy usłyszeliśmy: „Chłopaki, Ruski są”. Powiedziałem wtedy: „Poczekajmy jeszcze, na razie wszyscy ogolmy się i odpowiednio ubierzmy”. Brat jednak nie chciał czekać, szybko ubrał kurtkę i popędził do nich. Rosyjski znał dobrze, bo przed wojną przebywał w Łucku na Wołyniu. Po chwili przyprowadził trzech oficerów rosyjskich, a ci zaprowadzili nas wszystkich do sztabu. Tam wypytywali, skąd się wzięliśmy w lesie i kazali zdać broń. Zostaliśmy zaprowadzeni przez żołnierzy do wioski Kwieki. We wiosce powiedzieli nam, że mamy poszukać sobie na nocleg jakieś mieszkanie. Jeden z kolegów wtedy rzekł: „Ja mam tutaj swój dom. Matkę i brata zabili Niemcy, dom jest pusty, tylko w jednym końcu mieszka samotna kobieta”. Zaprowadził nas do tego domu. Zajęliśmy jeden pokój, a w drugim urządzili się Rosjanie. Kolega w obecności rosyjskiego żołnierza powiedział, iż ta kobieta, zdradziła Niemcom, że matka i brat współpracowali z partyzantami, i Niemcy wywieźli ich do lasu i zabili. Rosjanin stysząc to natychmiast podał mu pistolet i powiedział: „Skoro tobie wyrządziła krzywdę, wyprowadź ją na gnój i zabij”. On oczywiście odmówił. Nie miałby sumienia, gdyby tak postąpił.

- W tym domu, w Kwiekach, spisali nasze dane i nagle, pod wieczór, przepędzili z pokoju i kazali nocować w chlewiku. Nanieśliśmy sobie do tego chlewika słomy i chcieliśmy się położyć, ale znowu nastąpiła zmiana decyzji: mamy iść do Czerska; a to było jakieś siedem, osiem kilometrów. W Czersku zaprowadzili nas do jakiegoś dużego domu i kazali dokładnie opróżnić kieszenie. Pozabierali wszystko. Gdy pytaliśmy dlaczego to robią, odpowiadali oschle: „Takoj prikaz”. Przesiedzieliśmy tam cały dzień. Drugiego dnia przyszedł jeden z oficerów i powiedział, że mamy pójść na podwórko, ogolić się i umyć. Potem oddali nam wszystkie rzeczy, które zabrali i powiedzieli: „Jesteście wolni. Idźcie do domu i czekajcie na polskie przedstawicielstwo”. Chcieliśmy, by dali nam jakieś papiery, zaświadczenia, że nas zwolnili, ale oni powiedzieli, że żadnych dokumentów nam nie trzeba, bo drogę mamy wolną i nikt nas nie zatrzyma. Grupa kami, po kilka osób, udaliśmy się do domów. W naszej grupie było pięć osób - nas czterech braci i jeden kolega. Szliśmy

do domu i oddychaliśmy z ulgą. Nareszcie wolni. Najstarszy brat miał zaszytą w kurtce paczkę papierosów. „Te papierosy zapalimy dopiero wtedy, gdy odzyskamy wolność” - mawiał. Uszczęśliwieni paliliśmy te papierosy, kiedy raptem, jakieś pięć kilometrów przed domem, przypędzili na koniach dwaj rosyjscy żołnierze. Zatrzymali nas i kazali zawrócić. Zaczęliśmy się tłumaczyć, że niedawno zostaliśmy zwolnieni, ale to nic nie pomogło. Powiedzieli, że przyszedł inny rozkaz i nie mamy dyskutować. Poprowadzono nas do Śliwie, gdzie zatrzymano już wcześniej sporo ludności cywilnej. Cywilów zostawiono, a nas, partyzantów, przewieziono pod strażą samochodami do Chelmina. Tam byliśmy więzieni pięć dni. Później przewieziono nas do Działdowa, gdzie zastaliśmy olbrzymią rzeszę ludzi w podobnej jak my sytuacji. W nocy, a zawsze o tej porze nas przemieszczano, zostaliśmy przewiezieni na pierwszą stację za Działdowem. Tam stały wagony towarowe i do nich nas zapędzili. W wagonach były drewniane piętrowe prycze. Położyliśmy się na nich tak jak staliśmy, bez żadnego przykrycia. Był wtemczas mróz i gdy zasnąłem, twarz przyznarzała mi do tej pryczy. Odczuwam to do dzisiejszego dnia. Transport ruszył nazajutrz przed południem. Na jednym z postojów ujrzelismy stogi ze słoma. Pozwolono nam tę słomę zebrać i wyłożyć nią prycze.

- Było to jeszcze na polskich terenach, gdy aptekarz z Czerska i jeszcze jeden zgłosili, że są chorzy i zostali przeniesieni do specjalnego wagonu-lazaretu. W tym wagonie powiększyli dziurę, która służyła ludziom do załatwiania się i uciekli. Po tym wydarzeniu pociąg zatrzymywał się nocą w polu, a Rosjanie otwierali wagony i strzelali na oślep. Wielu wtemczas zginęło. Jak już przyszła noc, a transport zatrzymywał się, każdego z nas ogarniała trwoga. W tym transporcie jechałem razem z najstarszym bratem. Pozostałych braci zatrzymano w Działdowie i oni jechali później. Podróż w tamtą stronę trwała osiem tygodni i była jednym wielkim koszmarem.

- Przywieziono nas do miejscowości Róża na Nizinie Syberyjskiej. Gdy wyszliśmy z wagonów, kazano ustawić się w szeregu, a Rosjanin, przechodząc obok nas, zaczął wywoływać niektórych, by wystąpił. Wywołał brata, a ten dał mi znak, bym dołączył. Przystąpiłem do niego, Rosjanin spostrzegł to, ale nic nie powiedział. Brat chciał, byśmy się nie rozłączali, bo razem zawsze łatwiej. Grupa wywołanych z szeregu została zatrudniona przy sprzątaniu transportu. Wyciągaliśmy z wagonów trupy. Ułożyliśmy je potem w trzech wagonach. Tych zmarłych i zabitych zrzucano później w jedno miejsce i przysypano śniegiem. Gdyśmy sprzątały wagon, w którym przewożono chorych, spostrzeżliśmy staruszkę, Rosjanina, wygarniającego z zabrudzonej wydzielinami słomy resztki sucharów. Żołnierze przeganiali go kolbami. Spytałismy go, po co to zbiera, a on powiedział: „Sup, sup”. Chciał z tego ugotować zupę. Wtedy z całą jaskrawością uzmysłowiliśmy sobie, co to jest kraj komunistyczny.

- W Róży zakwaterowali nas w starych, zapadających się ziemiankach. Były długie i ciasne, a każda mierzyła co najmniej sto metrów. Wokół tego obozu były różne fabryki, młyny, cegielnie i

kopalnie. Ziemia tam była czarna i żyzna. Jak spadł deszcz, to płatami lepila się do butów. Spałiśmy tylko na żerdziach, bez przykrycia. Kąpiel była raz w miesiącu i wtedy także zapędzano nas do odwyszawienia. Do jedzenia dostawaliśmy tylko trochę kaszy i chleb z żytnich plew, czasami trafiło się coś z amerykańskich konserw. Ci, którzy byli więzieni w Stutthofie, mówili, że nawet tam nie było takiego lichego jedzenia. Głód, choroby i odmienny, surowy klimat przyczyniały się do dużej śmiertelności. A zmarłych tam nie grzebano, tylko wyrzucano na gnojowisko.

- Po jakimś czasie zostaliśmy przebadani przez dwie felczerki. Wtenczas też przyznawano kategorii zdrowia od I do V. Do tej ostatniej zaliczono w ogóle niezdolnych do pracy. Tych z I i II zatrudniono w kopalni. Brat i ja otrzymaliśmy III kategorię, czyli byliśmy zdolni do prac na powierzchni. Wywieźli nas do innego obozu, w pobliżu Róży, gdzie stały trzy ogrodzone baraki. Tam już były trochę lepsze warunki. Grupa, do której nas przydzielono, miała za zadanie wybudować nowy lagier. Niewysoki Rosjanin ze szramą na twarzy, o przenikliwym wzroku, wywołał mojego brata i wyznaczył go na „komandira” grupy. Wybrał także pięciu innych, a wśród nich również mnie. Jako funkcyjni stanowili coś w rodzaju sztabu i mieszkaliśmy w jednym pokoiku. W tym obozie pracowało bardzo dużo kobiet z Bydgoszczy i Działdowa. Ścinały w lesie drzewa, rąbały na bale, które na plecach przynosiły do obozu. Z tych bali budowały baraki. Ja początkowo nic nie robiłem, bo nie mieli dla mnie narzędzi. Później chodziłem każdego rana do pracy w pobliskiej fryzjerni wojskowej, w koszarach dla żołnierzy, którzy trzymali straż w obozach. A tych lagrów było tyle, że jak okiem sięgnąć wszędzie się je widziało. W koszarach, w kuchni, pracowały Polki i czasami coś lepszego podsunęły mi do jedzenia. Jesienią wszyscy mieliśmy nieco lepsze jedzenie. Wtedy już była kapusta, liście z buraków, kartofle. Sami to wszystko zasadziliśmy. Żołnierze pilnowali tych pól, by miejscowa ludność nie wybrała z ziemi właśnie co zasadzonych kartofli. Ci ludzie byli bardzo biedni. Najgorzej żyło się samotnym mężczyznom, często specjalistom w fabrykach i kopalniach, którzy pochodzili z innych regionów. Przeważnie mieszkali w budach, które sami zbili z różnych kawałków drewna i dykty. Jedzenie, porcje przydzielonej kaszy, gotowali na ognisku, w poszukach po konserwach.

- Pamiętam, że któregoś dnia położono w wolnym pomieszczeniu baraku osiemnastoletnią ciężko chorą dziewczynę. Felczerka, rosyjska Żydówka, i sanitariuszka, Rosjanka, co chwilę do niej zagładały. Pomyślałem sobie - jakie to one są opiekuńcze i troskliwe. Nagle usłyszeliśmy niesamowity krzyk. Gdy przybiegliśmy; zobaczyliśmy, jak te dwie wydzierały sobie brudne majtki nieżyjącej już dziewczyny. Zagładały do niej, bo czekały na jej śmierć. W tym obozie była też inna chora dziewczyna, Niemka. Dziewczyna brudna i zaniedbana, a na głowie miała kołtun. W kołtunie wszy - niczym rój pszczół. Felczerka nie chciała się zgodzić na ścięcie tego kołtuna, bo wierzyła, że jak się go zetnie, to dziewczyna umrze albo ją pokręci. By ją przekonać powiedziałem, że tak wielu ludzi tutaj umiera, iż możemy i tę dziewczynę poddać śmiertelnej próbie. Mężczyźni wynieśli chorą na dwór, wykopali dołek, a ja ubrałem się w pożyczony od kolegi płaszcz ze skaju i ściałem ten kołtun. Wrzuciłem go do tego dołka i zakopałem. Później ta

dziewczyna, gdy ją wykapano i przyszła do zdrowia, wypiękiała, była jak lala.

- Od jakiegoś czasu mówiono, że nas 'Wypuszczą', bo Mikołajczyk przyjechał do Polski i bardzo się tego domaga. Pewnego dnia znalazłem się z bratem w grupie, którą zaprowadzono do wioski. Kazano nam czekać przed szkołą. Przez okna widzieliśmy, że tam za drzwiami stało dwóch rosyjskich mężczyzn i bili tych, którzy tam wchodzili. Gdy ja zostałem wywołany, cały się trząsałem ze strachu. Nikt mnie jednak nie uderzył. W pokoju były stoły, a za nimi siedzieli Rosjanie. Kilku ich było. Zdziwiłem się, gdy powiedzieli: „Parzałsta, siedidsia” i podali herbatkę. Musiałem podać imię i nazwisko, datę urodzenia, miejsce zamieszkania. Gdy spytali, ile mamy w gospodarstwie krów, odpowiedziałem, że sześć. Oni na to: „Teraz macie dwie”. „Koni?” Odpowiedziałem: „Dwa”. Oni: „Żadnych już nie macie”. I jak się później przekonałem, tak rzeczywiście było. Dokładnie wiedzieli, co mieliśmy. W szkole podzielono nas na trzy grupy: internowani, jeńcy wojenni i robotnicy. Ja należałem do internowanych. Kilka dni trzymano nas w niepewności. Parę razy robili zbiórki i rozgłaszali, że pojedziemy do domu, a potem to odwoływali. Wreszcie zaprowadzili nas do pociągu. Po pięciu dniach podróży znaleźliśmy się w następnym lagrze, w którym więziono jeńców niemieckich. Tam zostałem poddany dwutygodniowej kwarantannie, w specjalnie do tego urządzonym baraku. Po tej kwarantannie co jakiś czas zabierali do lekkiej pracy. Któregoś dnia wywołano mnie i kazano pójść do pracy we fryzjerni lagrowej. W tym lagrze były gabinety lekarskie różnych specjalności i gabinet dentystryczny prowadzone przez Niemców. Dentystką była Rosjanka, a jej pomocnicą Polka. Tu nie można było narzekać na brud i złe jedzenie i tu już przypadków śmiertelnych nie było. Trzy miesiące spędziłem w tym obozie nim zostałem przetransportowany do punktu zbiorczego w okolicach Czelabińska, u podnóża Uralu. Wracałem sam, bo brata przetrzymano jeszcze w obozie. Na gwiazdkę 1945 roku byłbym już w domu, ale nasz pociąg do Czelabińska spóźnił się o jeden dzień i później musieliśmy długo czekać na następny. Z Czelabińska ruszyliśmy dopiero po świętach Bożego Narodzenia. Do Polski przyjechaliliśmy 22 lutego. W Terespolu ludzie czekali na nas z koszami pełnymi kanapek oraz z kawą, mlekiem i herbatą. Żołnierze dzielili się z nami papierosami. W Warszawie mieliśmy przesiadkę. Tłok był na peronie i w pociągu, do którego mieliśmy wsiąść. Wtenczas był bardzo duży ruch, bo ludzie przemieszczali się w różne strony. Gdy strażnicy kolejowi dowiedzieli się, że wracamy stamtąd, zaczęli wołać: „Opuszczać przedziały, AK jedzie!”. Ludzie wychodzili bez szemrania i robili nam miejsce.

- Gdy wróciłem, najmłodszy brat, Marceli, był już w domu. Najstarszy przyjechał w czerwcu 1946 roku. Franek miał wrócić w tym samym czasie co ja, ale go cofnęli. Był w młynie księgowym i bez niego nie mogli sobie dać rady. Jeszcze półtora roku go trzymali.

Dziś Teofil Knut prowadzi spokojny żywot emeryta. O swoich przeżyciach przed czterdziestu laty opowiada bez emocji. Nie żali się i nie próbuje oskarżać winnych. Pragnie przede wszystkim, by nie zapomniano o wielu bezimiennych, których prochy przykrywa czarna syberyjska ziemia

(1990 r.)

T: M-1644/2596 Pom. Chojnice

Grunt Teofil

V. Party informacyjne

k. 4



PART. A  
KARTUZY

KNUT TEOFIL

Partyzant „Seyseck”, depozytowany  
przez NKWD obd. ZSRR — Roza.  
Mroczek w lutym 1946 r.

AK na Pomorzu, s. 188



Pomrz. -

Bory Tucholskie 2

ZWZ-AK

Karmy 1

Knut Teofil

- pochodził z Kartuz. Wraz z braćmi - Janem i Marcelim, po podpisaniu wniosku o przyjęcie do IID grupy DVI, obawiając się wcielenia do Wehrmachtu uciekł do lasu. Znalazł się w oddziale "Szyszki" dowodzonym przez plut. Piotra Guza. Aresztowany przez NKWD i wywieziony na Ural.

Mat. z Konfer., "Armia Krajowa na Pomorzu",

str. 33.....

K.Wojt./94r.





Emil Teofil Płeczeniecki<sup>2</sup> Chojnice<sup>3</sup>  
part. AK

ur. 1917, areszt. 27.02.45 "Szyski"  
Płeczenie, wywieziony 12.03.1945 terr. NKWD  
z Dziadowa do Kozy.  
Wzrost w II 1946.

zob. Powojenne losy konspiracji  
pomorskiej..., s. 203, poz. 105

WP. 1, 14



Knut Teofil

Chejnice 4  
DOW "Gr. 3" AK

ps. "Lis" (brat Marcelę; Janę)

gr. part. "Knutów", dca Jan

Knut ps. "Śmbr" (brat)

zob. T. osob. M-1642/2594 Pom.  
- Knut Jan

AK-14



*Młot Teofil*

